

Ekstaza erotyk

Mężczyzna leżał wsparty łokciem na biurku i bębniąc od niechcienia palcami po blacie, wpatrywał się tępo, acz w skupieniu, w sufit, jakby szukał tam natchnienia bądź ratunku przed trawiącym go dokuczliwym kacem.

Od czasu do czasu tylko odrywał wzrok od powały i kątem oka, badawczo spozierał w stronę leżącej ponętnie na sofie kobiety.

Na moment palce mu znieruchomiały, by zaraz potem rozpocząć jeszcze gwałtowniejszy taniec, mający niechybnie na celu zwrócenie na siebie jej uwagi.

Te wabiące, wysyłane przezeń sygnały świadczyły wyraźnie o jego narastającym, wzmożonym pożądaniu, wzbudzonym emanującymi z niej feromonami. Nie trudno było się domyślić, czego od niej oczekuje.

Kobieta jednak jakby nie zwracała na te jego wymowne zaloty uwagi. Tylko pozornie bowiem jej ostentacyjnie prowokujące pozy, zmieniane raz po raz powabnie i wyzywająco, zdawały się mieć niewątpliwie tylko jedno na celu.

To była taka niemal rytualna, ekscytująca erotycznym napięciem, typowo damsko-męska gra. Taki subtelny, dwuznaczny w swej wymowie, flirt. Na odległość.

Czynność, jaka ją akurat, zdawałoby się, bez reszty pochłaniała, była dobrze wyreżyserowanym przedstawieniem, dokładnie obliczonym na konkretny, spodziewany efekt... Otóż usilnie, z nieskrywaną kokieterią starała się strącić zgrabną nóżką termometr pokojowy Celsjusza, wiszący na ścianie znacznie wyżej, niż z tej pozycji mogła go dosięgnąć. Zerkając przy tym ukradkiem na mężczyznę, jakby oczekując od niego pomocy bądź skarcenia, a już na pewno takiej reakcji, która fizycznie mogłaby rozładować narastające w obojgu napięcie. Widząc jednak, że mężczyzna specjalnie się nie kwapi i wyraźnie ociąga, udając na przemian raz zainteresowanie, to znów demonstracyjną obojętność, nie wytrzymała i postanowiła przejąć inicjatywę, pragnąc, jak to kobieta, mimo wszystko dopiąć swego.

Z nietajoną pretensją w głosie zalotnie zawołała:

– Maćku, no dlaczego mi nie pomożesz?... Nie widzisz, że się męcę?... Jesteś naprawdę okropny!

Ostatnie słowa wypowiedziała, zawieszając chytrze głos, w oczekiwaniu na efekt tej reprimendy. Jak się okazało dość skutecznej.

Mężczyzna przestał bębnić po blacie, na chwilę zawiesił na niej wzrok, najwyraźniej kalkulując i rozważając w myślach, jak też najwłaściwiej i najkorzystniej dla siebie powinien teraz postąpić... Czy ruszyć się z miejsca i zadośćuczynić jej prośbie, czy też może nadal grać na zwłokę, pozornie ją ignorując. Uważając jednakowoż by nie przeciągnąć struny.

Kobieta dostrzegła to wahanie. Wyczuwając intuicyjnie, że słowa jej nie były bynajmniej rzucone na wiatr, postanowiła kuć żelazo póki gorące i przyspieszyć trochę działającą na zwolnionych obrotach męską decyzję kolejną zachętą, używając do tego z premedytacją przekonywających atrybutów swej wybujałej ponad wszelką miarę kobiecości.

Kuszając, niby Ewa Adama w raju, uniosła do góry nogę tak wysoko, jak tylko mogła, aż okrywający ją jedwabny peniuar zsunąwszy się odsłonił jej obnażone alabastrowe biodro i całą długość kształtnie wytoczonego uda...

Na taki widok w każdym normalnym facecie krew by się w żyłach zagotowała i pewnie dłużej samczego popędu nie zdołałby w ryzach utrzymać. Ale w Maćku na pozór nic nie drgnęło. Grając na zwłokę, ryzykownie przedłużał moment wieńczący tok owej gry.

Niewątpliwie kac po wczorajszym przepiciu trochę go otępił, ale nie on był głównym powodem jego flegmatycznego zachowania wobec ewidentnej, wiele obiecującej erotycznej prowokacji ze strony kobiety, tylko taka jakaś irracjonalna, będąca chyba przejawem samczego buntu przeciw próbie żeńskiej dominacji, przekora.

Być może hołdował zasadzie, że post wzmaga tylko apetyt, dzięki czemu następująca po nim konsumpcja w dwójnasób wzbogaca doznania organoleptyczne, nastawiając tym samym zmysły na eksplozję spełnienia.

Nadal więc udawał obojętność, by nie rzec – oziębłość uczuciową, ale widać było, że przychodzi mu to coraz trudniej. Czuł bowiem, że poziom adrenaliny i testosteronu w jego organizmie osiągnie niebawem poziom krytyczny i dłużej zwierzęcemu instynktowi pożądania nie będzie w stanie się oprzeć.

Zmienił nieco swoją pozycję, odwracając się na drugi bok, plecami do niewiasty, ale głównie dlatego, że zaczynało mu być niewygodnie. Gdy się więc co nieco odprężył, nie chcąc tracić jej z oczu i w obawie, by nie poczytała tego za nietaktowne lekceważenie, przyjął ponownie poprzednią pozycję, obmacując ją coraz bardziej łaskomym wzrokiem.

Naraz jej słodki głosik znowu zawibrował aksamitnym tembrem, wytrącając go z zadumy, niby dźwięk budzika wybudzającego ze snu.

– Maćku, no rusz się! Ależ ty jesteś leniwy... Nie mogę patrzeć na to paskudztwo. Gdzieś ty to kupił?... Na odpuszcie?... Nie masz za grosz dobrego smaku.

Maciek zrozumiał wreszcie, że już najwyższy czas, by zareagować, jak przystało na faceta, tak by nie wyjść w jej oczach na niedojdę albo gbura. Bądź co bądź, była jego gościem i nie należało tego faktu ignorować.

Zsunął nogi z biurka, podszedł do sofy i bez wahania, jednym pewnym ruchem ręki strącił termometr ze ściany, który uderzając o podłogę, rozprysnął się na drobne kawałki.

Trochę było mu go szkoda, bo tym samym pozbawił się możliwości kontrolowania na własny użytek stanu pokojowej temperatury. Zacisnął jednak zęby i, nie da-

jąc poznać po sobie, że jest z tego powodu zły, bez słowa wrócił do biurka i ułożył się na jego blacie, jakby to było w tym pomieszczeniu najodpowiedniejsze do leżenia miejsce. Ułożył się tak, by wciąż mieć ją na oku.

Szarpała nim zmienność nastrojów. Jak to na kacu, kiedy człek jeszcze „klina” nie wypije. To z dzikim pożądaniem chętnie by się na nią rzucił... to najchętniej wyrzuciłby ją z domu. Ale resztką silnej woli zdławił w sobie te rozterki, bezwiednie puszczając rozedrgane palce w ruch.

Kobieta zaskoczona jego zdecydowaną reakcją, spełniającą jej prowokacyjną zachciankę, rozpuściła wzrok po podłodze, podążając za toczącymi się w różne strony kuleczkami rozprysniętej rtęci.

Ów raczej rzadki widok sprawił, że wyraźnie się ożywiła. Zsunęła się z sofy i, raczkując na kolanach jak kocica, z wypiętym wydatnie zadkiem, usiłowała pochwycić palcami srebrzyste kulki podobne do małych pereł.

– O!... Żywe srebro... żywe srebro!... – zaszczebotała podekscytowana, bezskutecznie klepiąc dłonią po podłodze.

Zanim Maciek zdołał ją ostrzec, że to trucizna i niebezpiecznie jest chwycić ją w palce, dziewczyna krzyknęła:

– Ała!! – unosząc do ust skaleczony palec.

– Stój! – wrzasnął Maciek, zrywając się z biurka, czym wystraszył ją jeszcze bardziej. – Chcesz wykorkować?... To trucizna!... Czy ty zawsze musisz wpychać sobie wszystko do gęby?

– Jakbyś tego nie lubił – rzekła z wymówką, pokazując mu zakrwawiony palec.

– O matko, to krew?!... Chyba zaraz zemdleję. To wszystko przez ciebie. Ty brutalu! Po co rozbiłeś ten termometr? No, popatrz...! I co ja teraz mam zrobić z tym palcem?

Już miał powiedzieć, żeby wsadziła go sobie do... wiadomo gdzie, ale w porę ugryzł się w język.

– Co ty pleciesz, Marta, czy to moja wina?... Przecież sama chciałaś to strącić. No to ci pomogłem – rzekł ze współczuciem i wymówką, że się go niesłusznie obwinia i, ujmując ją za przegub, przyciągnął do stołu i wsadził zraniony palec do kieliszka z resztką niedopitej wódki.

– Aj! – pisnęła z bólu. – Co robisz?... To piecze!

– To dla dezynfekcji. Nic ci nie będzie – rzekł rzeczowo Maciek. – A na drugi raz uważaj, co robisz – ostrzegł, owijając jej palec w serwetkę.

Na ściennym zegarze wybiła godzina dziesiąta.

Przyznał w duchu, że ma jej już trochę dosyć. W nocy dała mu niezłą szkołę. Wprawdzie nie wszystko dokładnie pamiętał, bo był nieco wstawiony, ale takiej ekwilibrystyki się nie zapomina. Wiadomo, że babki po kielichu tracą rozum, ale to, co ona z nim wyrabiała, przekraczało wszelką wyobraźnię. No, jednym słowem – Kamasutra wysiada!... I ciągle jej mało?... Co ona tu jeszcze robi? Zwykle wychodziła wcześniej, o wpół do dziewiątej, w obawie, by przypadkiem nie zastał jej tu ktoś znajomy, wpa-

dający do Maćka z wizytą. A już, nie daj Boże – Tadeusz, jego stary, dobry kumpel, a jej... ślubny mąż.

– No, zmywaj się już, złotko! – mruknął Maciek pod nosem, tak żeby nie słyszała, marząc o flaczkach i dużym jasnym, które to frykasy zamierzał spożyć ze smakiem w pobliskim barze, zaraz po tym, jak tylko zostawi go samego. Bo o tym, że zrobi mu śniadanie, nie miał nawet co marzyć. Na kuchni znała się tak, jak krowa na pogodzie, nie mówiąc już o tym, że to patentowany leń. Tylko czekała na to, żeby jej nadskakiwać i podstawiać wszystko pod nos. Nie ma co... ma z nią ten Tadek za swoje – pomyślał ze zgrozą i głośno zapytał:

– Mała, sikać ci się nie chce?

Potrząsając głową, zaprzeczyła.

– No to zrobię i za ciebie – oznajmił krótko.

Wszedł do łazienki. Zrobił, co należy, wziął prysznic, ogarnął się, ogolił. Przeparał slipy i skarpetki i podkręcił w piecyku świeczkę, by miała cieplejszą wodę, bo wiedział, że taką lubi.

– Kotku, kibel wolny – rzekł wychodząc. – Weź tusz i zrób porządek z tymi swoimi mazidłami, bo wszędzie ich pełno. Tylko tego brakuje, żeby zobaczyła to Teresa, jak przyjedzie – dodał, mając nadzieję, że tą uwagą sprawi, że szybciej się pozbiera i wyniesie.

A był po temu już najwyższy czas.

– Wielkie mi rzeczy... – bąknęła, niby to do siebie. – Jakby ona nie robiła tego, co i ja...

– Co mówisz? – zapytał.

– Nic, nic... Pozdrów Teresę ode mnie. Zawsze się lubiliśmy – odparła nieśpiesznie i z przekąsem.

Zachowywała się inaczej niż zwykle. Jakby jej się nigdzie nie śpieszyło albo jakby chciała mu zrobić na złość. Czy ktoś kobietę zrozumie?

Podeszła do odtwarzacza i nastawiła pierwszą z brzegu płytę.

„Love me tender”... – rozległ się po mieszkaniu ciepły, znajomy głos.

Lubił ten kawałek. Inne na tej płytce też. Jak zresztą wszystkie piosenki Presleya. To był bezapelacyjnie król! I to ciągle żywy. Ale ją upomniął.

– Marta, przycisz to. Jest za głośno... Nie chodzi o sąsiadów, ale po wczorajszym trochę łupie mnie we łbie... Słyszysz?

Mimo tej prośby i tak musiał wykonać tę czynność sam. Przykręcając gałkę potencjometru, patrzył jak w rytm muzyki płasa boso po podłodze.

– Wariatko... włóż pantofle, bo się znowu skaleczysz! – fuknęła z irytacją.

Robiąc nadąsaną minę, zapaliła papierosa, kilka razy zaciągnęła się, po czym wsadziła go do filiżanki z niedopitą kawą i nagle... jak fryga, pobiegła do łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi.

Gasząc z niesmakiem, w fusach, niedopałek, dostrzegł na dnie flaszki trochę niedopitego dżinu. Nie przepadał za jałowcówką, dobrą tylko do drinków, ale przełamując niesmak, obciągnął „z gwinta” i to. Poczuł miłe ciepłko rozchodzące się wolno po ciele. Właśnie tego mu brakowało, choć wolałby jednak co innego.

– Co za burdel! – pomyślał ze zgrozą, ogarniając wzrokiem istne pobożowisko. I na łóżku i na stole. Wszędzie. Choć pić mu się chciało, jak diabli, do kuchni wołał już nie zaglądać, wyobrażając sobie, jaki też tam musi być nieład. – Oblizał suchym językiem spieczoną wargę.

– Kto to będzie sprzątał? – zastanawiał się, skwaszony, wyglądając przez otwarte okno. Wodząc oczami po połyskujących w promieniach słońca dachach, podziwiał z wysokości swego poddasza panoramę gór mających na horyzoncie. Wyrażną jak zwykle wtedy, kiedy wieje halny wiatr.

Ulicy stąd widać nie było. Dobiegał tylko szum i warkot silników przejeżdżających dołem samochodów. Najgłośniejszą się tłukła śmieciarka i jakiś dostawczy wóz trąbiący wniebogłosy, by wymusić przejazd.

– Cicho, do cholery! – warknął, chwytając za stojącą obok wiatrówkę. Chętnie by w coś kropnął, ale tak naprawdę nie było do czego strzelać.

Przed oczami tylko las telewizyjnych anten, kominów i porośnięta drzewami przestrzeń przyklasztornych ogrodów rozpościerających się na przeciwko.

Idąc ulicą, nikt by nawet nie przypuszczał, jak spory obszar zajmują ci bracisz-kowie. Nie oni jedni zresztą. Takie zamknięte, ogrodzone wysokimi murami ogrodowe kwartały znajdowały się przy każdej ulicy, przy której stał kościół. A w mieście było ich ze sto albo i więcej.

W oddali strzelały w niebo smukłe wieże i pękate kopuły kościołów, ratusza, wawelskiego zamku i ażurowe konstrukcje kilku budowlanych żurawi. Nawet Kopiec Kościuszki było stąd widać całkiem jak na dłoni, jeśli się tylko bardziej wychylić z okna.

Pomyślał sobie, że gdyby tak był przewodnikiem turystycznym, mógłby tu przyprowadzać wycieczki krajoznawcze, by im pokazać panoramę Krakowa z ptasiej perspektywy, zamiast uganiać się z nimi po całym mieście z wywieszonym jęzorem.

Pewnym ruchem złamał lufę, wsadził śrut i zatrzasnął. Przymierzył się, celując w jakiś punkt na kominie z nadzieją, że zobaczy, jak po strzale odpryskuje od niego tynk. Niestety, na taką odległość zbyt mała była jednak siła rażenia.

– Ech, gdyby tak mieć prawdziwy sztucer... – westchnął zawiedziony. – Co za frajda byłoby widzieć, jak cały komin rozsypuje się w drobny mak.

W ostatniej chwili zmienił cel, mierząc w jakiegoś kundla ujadającego wściekle między krzewami przydomowego ogrodu. Wolno nacisnął spust... – Fuknęło!

Usłyszał skowyt trafionego śrutem psa i zaraz po tym złorzeczenie jego właściciela, wymachującego groźnie laską. Najchętniej zamknąłby mu gębę następną oło-

wianą pigułką, ale odpuścił, nie chcąc robić krzywdy jemu ani sobie. No bo nie musiałby długo czekać, żeby gliniarze załomotali kolbami do drzwi.

Przypomniał sobie, jak jesienią strzelał do jakiejś baby, która paliła w tym ogrodzie zeschłe liście, zasmradzając całą okolicę. Swym wrzaskiem dała większego czadu niż ten dym. Ktoś nawet wezwał straż pożarną, żeby ugasiła ogień. Na szczęście wtedy mu się upiekło, bo babsko w ogóle nie połapało się, że ktoś do niej strzelał.

Przymierzył się do siedzącego na antenie telewizyjnej gołębia. Potrzymał go przez chwilę na muszce, dokładnie zgrywając ją ze szczerbinką... Delikatnie nacisnął spust... w końcu jednak go zwolnił. Jakoś nie poczuł w sobie instynktu łowcy. Nie rozumiał tej satysfakcji, ba! szczytowania, ze strzelania do bezbronnej zwierzyny, jaką odczuwają faceci w zielonych kapelusikach z piórkiem, chępiący się celnym strzałem breneką na komorę bądź wiązką śrutu do pierzastych braci w locie. Raz tylko, za młodu, przetrącił kijem żabę i wyrzuty sumienia z tego powodu dręczyły go do dziś.

Załadował karabinek i ponownie odpalił, celując w satelitarną tarczę. Cichy metaliczny stuk świadczył o tym, że trafił. No to, dla pewności, powtórzył jeszcze raz. I jeszcze...

Lubił to. Broń, nawet pneumatyczna, dawała poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie. I była taka kształtna, ergonomiczna, dopasowana jak ulał do dłoni. Czuł się wtedy jak gościówka... niemal wyborowy snajper.

Zmrużył oko, przewiercając lufę na wylot, by upewnić się, czy pusta, i przeciągając po niej pieszczotliwie dłonią, odstawił wiatrówkę w kąt.

Na moment zawiesił wzrok na leżącym na stoliku rewolwerze. Korciło go, żeby i tę broń przestrzelić. Wypchnął bębenek, sprawdzając jego zawartość, ale widząc, że tkwią w nim tylko naboje gazowe, zrezygnował, gdyż byłoby to bez sensu. Gdyby miał hukowe, to co innego. Pewnie by nie odmówił sobie przyjemności odpalenia w niebo fajerwerku, z efektownym tytanowym rozbłyskiem, ale niestety... Do tej czterdziestki piątki nawet w Wiedniu nie udało mu się nabyć ładunków tak dużego kalibru. Dlaczego?... A cholera wie! A zresztą, gdyby nawet je miał, nie była to odpowiednia pora na kanonadę. Nowy Rok to co innego... Tradycja. Ale do niego było jeszcze daleko.

Wziął do ręki lornetkę zakupioną niedawno u Ruskich i, przystawiwszy do oczu, wolno zlustrował, od prawa do lewa, panoramę miasta. Przybliżała tak, że wieża katedry wawelskiej wydawała się być na wyciągnięcie ręki. Gdyby tak teraz ktoś znajomy ukazał się w jej oknie, rozpoznałby go bez problemu, mimo dzielącej ich sporej odległości. Co tam, zresztą wieża katedry. Podczas pełni złota tarcza Księżyca nie miała przed nim żadnych tajemnic. Wystarczyło rozłożyć jego mapę, żeby dokładnie lokalizować krater po kraterze. I pomyśleć tylko, ile frajdy dawał ów zmyślny, a zarazem nieskomplikowany układ kilku szklanych soczewek. Gdyby ją miał wtedy, gdy jeszcze w gmachu naprzeciwko mieścił się internat pielęgniarek. Ooo!... To byłoby na

co popatrzeć. Mógłby nią zaglądać nie tylko do pokoiów, ale nawet dziewczynom pod kołdrę. Prawdziwe kino!

Odłożył ją i podszedł do stołu, na którym brakowało chyba tylko dziada i baby. Wyszperał z resztek wczorajszej kolacji zeschnięty plasterek salami i kostkę żółtego sera. Zdmuchnął z nich tytoniowy popiół i, z trudem przełamując pokusę skonsumowania tych smakołyków, wyłożył je na parapet okna, licząc w duchu, że może w końcu ta harująca nocami po dachu kuna, którą kiedyś złapał w smugę światła z latarki, skusi się na tę przynętę i zacznie zaglądać do okna częściej. Była większa niż łaciaty kot z sąsiedztwa, często skradający się pod oknami, i robiła wiele hałasu, stukając pazurami po blaszanym dachu. Ale cholernie nieufna i nie wykazująca potrzeby oswojenia się z człowiekiem.

Wyjął z szuflady kartkę papieru i wkręcił ją do maszyny.

Wpadła mu raptem do głowy pewna myśl w związku z artykułem zamówionym przez redakcję magazynu dla tirowców, do którego pisywał od lat, którą szybko musiał zanotować, zanim się z pamięci nie ulotni. Aż go świerzbili palce, by postukać po klawiaturze komputera, ale nie chciało mu się wstawać, żeby go włączyć. Maszyna była bliżej.

W chwili gdy, niczym sam Paderewski, zawisł szponami nad klawiaturą staroświeckiego „Consula”, zamierzając wykonać sztywnymi palcami godny wirtuoza pasaż, drzwi łazienki nagle otwarły się, ukazując w pełnej krasie spowite kłębam pary... blond bóstwo. Wprawdzie jego kąpielowy szlafrok był zbyt obszerny, jak na jej drobne kształty, a wysoki zawój z ręcznika bardziej upodabniał ją do haremowego eunucha niż do ponętnej hurysy, to i tak wyglądała zachwycająco.

Gdy uniosła ręce, chcąc wydobyć je z przepastnych rękawów, jej krągłe cycuszki, niby gumowe piłki, podskoczyły do góry, naprężając się tak, jakby miały wyskoczyć z opinającej je bawełnianej otuliny. Poniżej poły szlafroka, niczym kurtyna w teatrze, rozchyliły się, perwersyjnie odsłaniając ciemny, kosmaty trójkącik między jej gładko toczonymi udami.

Z miną cnotliwego niewiniątka, jednak w pełni świadoma swych kobiecych walorów, obrzuciła Maćka spod długich rzęs tak powłóczyстым spojrzeniem, że każdemu innemu krew uderzyłaby do głowy i niechybnie zeszywniałyby mu na ten widok wszystkie członki.

Maciek jednak wciąż był niby głaz. A jeśli nawet nie, to przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Na krótko oniemiał, nie mogąc oderwać od niej oczu, ale szybko mu to zauroczenie przeszło. Zachowywał się tak, jakby działał sam sobie na przekór. Można by sądzić, że z tą obojętnością względem niej już zdecydowanie przesadza... Nocka nocą... kac kacem... ale przecież u licha krew to nie woda. Tym bardziej, jeśli się już dawno wyrosło z krótkich spodni.

Po prostu, gdyby to ująć słowami grypsery – szedł w zaparte. Albo doszło do tego, że już rzeczywiście miał jej dosyć. Któż to mógł wiedzieć dlaczego, skoro on sam nie był tego pewny.

Widząc, że nadal jest boso, zgarnął pośpiesznie pędzlem na gazetę odpryski szkła z podłogi. Rtęć wturlała się w szpary między klepkami parkietu, więc ją tam zostawił.

Kołysząc biodrami, na paluszkach, Marta podeszła do komódki.

– Misiu... jesteś niesamowity! Dlaczego masz rozbite lustro?... No i jak ja się teraz mam umalować? – jęknęła, załamując ręce.

– Dopiero dzisiaj to zauważyłaś?... Przecież sama miesiąc temu walnęłaś w nie wazonem... Ech, Marta, Marta... Co ja z tobą mam! Przejrzyj się w moich oczach. To zwierciadło duszy – dodał tajemniczo.

Wszedł do łazienki, by zrobić tam porządek, bo był pewien, że jak zwykle zostawiła po sobie bajzel. A na tym punkcie był uczulony.

No, oczywiście!... Nie mylił się. Brodzik w kabinie zatkany był kłębkami mokrych włosów. Tubka pasty do zębów nie zakręcona i wyciśnięta odwrotnie. Ręcznik zwinięty i powieszony byle jak... Sodoma i Gomora!

– Dlaczego one zawsze tak robią? – zżymał się, ścierając gąbką mokre plamy na posadzce. – Gdy skądś wychodzą, zawsze zatrzymują się w przejściu. Podeszwy butów oglądają, zadzierają nogi do tyłu. Malują sobie twarze, sikają na siedząco... Nie mówiąc już o wiecznych pretensjach i to o byle co.

Zakręcił kapiącą wodę i wyciągnął mydło z umywalki. Wychodząc ostentacyjnie, trzasnął drzwiami, aby zaakcentować swe niezadowolenie.

Ustawiona przez nią z trudem na komodzie puderniczka, od wstrząsu przewróciła się wprawiając ją w gwałtowne oburzenie.

– Do cholery!... Czego się tak wściekasz?... Nie mógłbyś delikatniej.

– Sorry... to przeciąg – bąknął na swoje usprawiedliwienie, by nie zadrażniać sytuacji.

Zdjął z regału teczkę ze szkicami i zaczął je przeglądać, jakby czegoś szukając.

– Misiu, co tam masz?... Coś ciekawego?... – zapytała od niechcienia, rozczesując włosy. – Mam nadzieję, że nie jakieś świństwa.

– A gdyby nawet, to co? – mruknął, nie podnosząc głowy.

– Proszę mi to zaraz pokazać, bo się pogniewam i guzik będzie z następnej randki – ostrzegła.

– Co chcesz, kotku, zobaczyć?... Rachunki za gaz, za prąd, za czynsz i takie tam duperele rysowane na chybcika? – zapytał ugodowo.

– Myślałam, że to może jakaś moda.

– Moda?!... – zachnął się. – Już prędzej u mnie znalazłabyś pornosa albo przepisy kulinarne. Ale magazyn z tymi wieszakami?...

– Jesteś świntuch! – rzuciła z udawanym zgorszeniem. – Nic, tylko jedno ci w głowie. No to chodź... pokaż, jaki z ciebie ogier.

– Marta, jeszcze ci mało?... Co się z tobą dzieje?... „Viagry” się najadłaś? Przecież muszę kiedyś popracować, żeby mieć na życie. A ty nic, tylko mnie napastujesz – rzucił z wymówką.

– Ja ciebie napastuję?... Bezczelny! Myślisz, że czegoś od ciebie potrzebuję? Przychodzę tu, bo sam tego chcesz, wyposzczony kocurze. Może nie?... A ty co?... Masz mnie dosyć?... Okres godowy minął?... Bez łaski! Nie, to nie. Jak wróci Tadek, to więcej mnie nie zobaczysz. Myślisz, że jest gorszy niż ty?... To się grubo mylisz, kotku. Tylko mnie zaniedbuje, bo zasuwa jak wół. A skąd bym miała na te ciuchy?... Od ciebie, centusiu? – wypaliła jednym tchem.

– Daj spokój, kobieto, o co ci chodzi?... – zapytał zaskoczony takim potokiem słów. – Miałbym wyjadać kit z okien?... Ja także pracuję. A za co by Teresa byczyła się teraz nad morzem?... Złotko, nie ma się o co kłócić. Idź teraz do domu, odpocznij trochę, a ja postukam sobie na maszynie. A wieczorkiem spotkamy się znowu. W „Ryju” albo w „Zwisie”, okay?... Dopóki Teresy nie ma, obskoczę cię wedle życzeń. Myślisz, że sam tego nie chcę?

– A chcesz?... Naprawdę? – zapytała przymilnie.

– Jasne!... Jak babkę kocham! – zapewnił.

– Jaką znowu babkę, rozpustniku?... Kochać masz mnie! – fuknęła z naciskiem.

– O rany!... Tak się tylko mówi. Nie słyszałaś?

– Ty mi tu, kochasiu, nie zalewaj. Już ja was znam!... Co to za babka? – sondowała przekornie, smarując usta szminką.

– Zgłupiałaś?... Nie ma żadnej babki. Gadasz od rzeczy. Jeszcze raz to powtórz, a pomyślę, że jesteś zazdrosna.

– Ja?!... Zazdrosna?!... O ciebie?!... Ha, ha, ha, ha, ha, ha! – zawibrował jej perlisty śmiech.

Zrobiło mu się głupio, bo słowa te uraziły jego męską dumę.

– Ale śmieszne!... Masz tupet! Robisz sobie ze mnie jaja?

– Ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Jaja?... – ponownie zaniósł się śmiechem. – Musiałbyś najpierw je mieć... Hi, hi, hi, hi, hi!

Miał tego gadania dość.

– Jesteś stuknięta pinda! – rzucił niegrzecznie. – Zaczynam żałować, że wyciąłem numer Teresie. Ona przynajmniej tak mnie nie traktuje. Jest w porządku.

– Co ty tam, misiu, wiesz... – rzekła tajemniczo, zawieszając głos.

– Wiem – oznajmił stanowczo. – Chcesz, to wracaj do męża albo kup sobie wiibrator. Taki karbowany, na cztery baterie. Żeby cię posuwał jak najdłużej.

– Nie bądź wulgarny! – zaznaczyła z wymówką i powtórzyła. – Co ty tam wiesz... Wydaje ci się, że Teresa jest święta jak jej imienniczka?... Że trafił ci się diament w korcu maku?... To jesteś głupi i ślepy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoił się.
- Cooo?... A to, że przyprawia ci takie rogi, że niedługo zahaczysz nimi o futrynę drzwi.
- Gadanie... – mruknął z podejrzliwym niedowierzaniem.
- Tak, tak, kotku, mnie możesz wierzyć – zapewniła. – W końcu jestem jej najlepszą przyjaciółką. Chyba wiesz.
- Więc twierdzisz, że mnie zdradza? – próbował upewnić się.
- Nie odparła na to ani słowa, śliniąc pilowane paznokcie.
- Z kim?... Znam go? – zapytał, strosząc się jak podrażniony pies.
- Czy to ważne?... Co za różnica? – rzekła wymijająco. – Jestem jej koleżanką, a nie plotkarką. Tylko tego brakuje, żebyś narobił afery. Zresztą i tak go nie znasz, więc co by ci to dało?
- A ty go znasz?... Może obraca was obie?
- Jeszcze jedna taka odzywka, a nie usłyszysz ode mnie ani słowa – ostrzegła.
- Mówisz serio? – nalegał.
- Nie. Robię sobie jaja... chi, chi, chi, chi, chi! – zachichotała kpiąco.
- Tylko z jednym? – nie dawał za wygraną, puszczając mimo uszu jej śmiech.
- Kotku, nie jestem jej materacem – odparła oschle. – Jest dorosła, więc może robić, co chce. Co mnie do tego?
- Jest moją żoną! – huknął z naciskiem, uderzając pięścią w biurko, aż podskoczyły papiery.
- A ty co robisz?... – zapytała wprost.
- Jaa?... To co innego.
- Akurat! Gadasz całkiem jak mój Tadek. Jemu też nic nie brakuje. Myślałby kto, że jak wyjeżdża gdzieś na chałturę, to przykładowie pości. Już ja was znam, tryki... Samce, którym wszystko wolno... Macho!... Playboye!... Haremy by im się marzyły. Jak słoniom morskim – wypaliła z wyrzutem.
- Nie odwracaj kota ogonem! – zaprotestował. – Dla faceta to tylko skok w bok, a babka jak już się raz puści, to koniec. Ani wołami jej nie powstrzyma. Od razu... tiu... tiu... tiu... wielkie zauroczenie. Romans jak z „Harlequina”. Faceci nie angażują się tak bezmyślnie.
- Nie?!... Chcesz powiedzieć, że jestem ci obojętna?... Że tylko mnie dosiadasz jak kobyłkę. To co ja, głupia, tu jeszcze robię? – obruszyła się. – To znaczy, że wszystko, co mi szeptałeś do ucha, to był tylko zwykły pic?... Ty draniu! Trzeba mi to było wcześniej powiedzieć, żebym wiedziała, z kim mam do czynienia... A ja, durna, myślałam, że mnie naprawdę kochasz... Oto podzięką za to, że miał podane wszystko jak na tacy... Teresa ci tak daje?... Ciekawe! – wyrzuciła z siebie, zatraskując głośno puderniczkę.
- Przecież cię lubię... Nie widać tego? – bąknął usprawiedliwiająco.

– Wypchaj się! – fuknęła Marta, wstając z taboretu. – To już, kotku, koniec. Teraz ja ci dam dobrą radę... Kup sobie gumową lalę do dymania. Takiej będzie obojętne, co jej powiesz.

– Lalkę?... – skrzywił się urażony. – Może to i niegłupi pomysł. Ale wiesz, że jak zechcę, mogę sobie pójść do burdelu i za stówkę będę miał z szykanami.

– A jakże!... Z adidasem, syfem i mendami. I jeszcze poduczysz się języków obcych. Ruskiego w szczególności... Winszuję! – zasalutowała.

Rozmowa przybrała dość nieprzyjemny ton, bo zeszła na drażliwe tory. Potrzebne to było jak dziura w moście. Choć, prawdę mówiąc, powinno to być Maćkowi na rękę. Sam przecież chętnie by ją splawił. No, ale niekoniecznie w taki sposób. Nie definitywnie.

Aż jej nie poznawał. Ta zazwyczaj infantylna szczebiotka zachowywała się naraż jak dojrzała, roztropna kobieta, gadająca całkiem do rzeczy. Nawet nazbyt do rzeczy, jeśliby wziąć pod uwagę to, co mówiła o Teresie. Aż trudno uwierzyć! No bo jeśli to prawda?... Że też nie wygadała się z tym wcześniej. Pewnie by odpowiednio zareagował. A teraz... diabli wiedzą... może już jest na reakcję za późno. Cholera!... Tak się kamuflować... Coś okropnego z tymi babami. Jedna cichodajka... druga cichodajka... Ciekawe, co by było, gdyby tak się o nich Tadek dowiedział. Afera murowana! A facet wierzy, że ma wierną żonę... Paranoja!

A co do Teresy... Nooo... nieźle, nieźle!... Że też mąż zawsze dowiaduje się ostatni... Te jej ciągle migreny, zmęczenie, wychodne do mamy i wypadki, rzekomo z koleżankami na wczasy. Raz to była Lucyna, innym razem Bożena, a tu okazuje się, że... gach! Ciekawe, co teraz robi nad tym morzem?... Jeśli w ogóle tam jest... Tylko kiedy wyjeżdżała z Martą, od biedy można było jej zaufać. Bo dało się to sprawdzić jednym telefonem. Chociaż... kurcze, kto wie, czy obie gdzieś się razem nie wypuszczały. Na gościnne występy... Co za dziwki!... Jak im tu wierzyć, skoro już od dziecka kłamią jak najęte?... A przyjaciółka przyjaciółce potrafi bez skrupułów wyciąć taki numer. W pale się nie mieści! Co za fałszywa, zakłamana moralność! Moralność... Pfe! Myślałby kto... Czyste kurestwo!

No, ale żyj tu, człowieku, bez baby... Chyba by zwariował, gdyby tak nagle miało mu zabraknąć i jednej, i drugiej. Tak, na stałe, bo dorywczo pewnie by sobie poradził. Mało to „towarów” było tu i ówdzie do wyjęcia?... Co pub, to pogotowie seksualne. Nie tylko w „Kornecie” u Jędrusia. Wystarczyło wyskoczyć gdzieś na dyskotekę, a za parę „bronków” lub drinka można było wyrwać laskę, jak ta lala. Same kleiły się, jak guma do żucia, że aż trudno je potem było od siebie oderwać. Tylko głupi przepłacał w agencjach masażu, tych zakamuflowanych burdelach, gdzie kontakty męsko-damskie ograniczały się wyłącznie do harówki jak w tartaku.... Do rżnięcia. Jedyne pożytek, jaki z wizyt w tych przybytkach wypływał, to ten, że faktycznie można było poduczyć się trochę języków obcych. Szczególnie tego z melodyjnym zwro-

tem: „*Job twoju mać*”. W drzwiach łyse pały, całe w sinych obrazkach, tylko czekające żeby komuś zdrowo przyłożyć. Gdzie im tam do eleganckich lupanarów z filmów Felliniego, z miłą burdel-mamą na czele i klientelą o odpowiedniej klasie i reputacji... Było – minęło. Cały ten romantyzm dzisiaj szlag trafił. Rozwiał się jak mgła, obnażając prawdziwy obraz rzeczywistości. Na każdym kroku tałatajstwo i hołota. W tym najgorszym z możliwych wydaniu. Lepiej było radzić sobie po swojemu, korzystając ze sprawdzonych sposobów i laseczek znanych od lat... O! na przykład... Ada... Ela... Haneczka... Mila... Było w czym przebierać. Byle tylko nie gruba Baśka, wiecznie napalona i namolna jak „kanar” w tramwaju. A gdy jeszcze sobie podpiła, lepiej było schodzić jej z drogi. Ale, dajmy na to... długowłosa Ala, kwiaciareczka, albo Irena ze Stanów, zjawiająca się tu co lato, rok w rok... Z nią wprowadzie jeszcze nie próbował, ale to tylko kwestia czasu. Były ponętne, inteligentne i miłe. Takie jakie lubił.

Cholera!... A tu masz!... Dała mu żonusia popalić. Gdyby nie te jej ciągle wyjazdy... No tak, ale przecież gdyby nie wyjeżdżała, nie miałby ani wolnej ręki, ani wolnej chaty. Ot, choćby jak teraz. Za nic nie poszedłby do Marty. Mowy nie ma!... Nie był przecież jakimś tam domokrażcą.

Kiedyś dał się skusić na domową wizytę u Ady i skończyło się tym, że spędził z nią pół nocy w łazience, siedząc na kiblu i paląc papierosy. W pokoju nie było wolno ze względu na... małe dziecko. Długo będzie pamiętał ten podryw. Ada, owszem, warta była grzechu. No ale w tych okolicznościach...

Co innego u siebie. Tu zawsze był panem sytuacji. Obawiał się tylko czasem, czy która z nich czegoś nie zwędzi, bo miał tych różnych dupereli na wierzchu tyle, że aż się o to prosiło. Ale to raczej tak z wrodzonej przezorności. Nie był przecież durniem, żeby sprowadzać obcych.

Marta ponownie otworzyła puderniczkę, aż zadymiło i, mizdrząc się do lusterka, jeszcze raz rzuciła krytycznie okiem na swoje dzieło. Wydawała się być z siebie zadowolona. Wytrzeszczając oczy, musnęła długim szponem po upakowanych tuszem rzęsach, strącając z nich jakiś pyłek, delikatnie upudrowała nosek, a odwracając się do Maćka, ułożyła karminowe wargi w seksowne serduszko, posyłając mu całusa.

Skwitował to wzgardliwą miną, nie zamierzając się rewanżować.

Ukończywszy ostatecznie poranną toaletę, odchyliła głowę do tyłu, potrząsając rozpuszczoną bujną grzywą. Zupełnie jak w telewizyjnej reklamie.

Dobrze wiedziała, co robi. Doskonale знаła swoje kobiece atuty. I nie byłaby sobą, gdyby nie spróbowała go na nowo nieco podrajcować. Mimo tego całego przekomarzania się, jakie przecież zdarzyło im się nie pierwszy raz...

Zrzuciła z ramion szlafrok i, rażąc oczy alabastrową bielą nagiego ciała, wsparła zadartą nogę o taboret, prezentując mu się w całej okazałości.

Przyglądając się temu, Maciek łudził się, że zaraz będzie tak, jak w kinie... czarna pończoszka wciągana na nogę... podwiązki z halterami... koronkowe majteczki albo sam sznurek... ministaniczek... Taki strip-tease w odwrotnej kolejności. Ale niezupełnie tak było. Owszem, włożyła skąpe figi i stanik, ale zamiast pończoch zaczęła wbijać się, o zgrozo, w... rajtki!

Nie znosił ich widoku. – Co za debil wynalazł te koszmarnie rajstopy? – zachodził w głowę. – Przecież każda babka, choćby najzgrabniejsza, wygląda w nich jak manekin. One jednak upodobały je sobie i już.

Kiedyś ubawiło go pewne zdarzenie, kiedy to jakiś klient, w ramach reklamacji, zwracał ekspedientce zakupiony dla żony prezent, wyjaśniając: „*No, niestety, proszę pani, na raj są dobre, ale na stopy trochę za małe*”.

Gdy się już w te rajtki wcisnęła i wdziała resztę garderoby, poklepała dłońmi po wciągniętym brzuchu i lubieżnie przeciągnęła nimi po tali, z widoczną satysfakcją, że efekty stosowanej diety są wyraźne i namacalne.

Kołysząc biodrami, niczym Marilyn Monroe w „Niagarze”, podeszła do biurka, za którym siedział i kłapnęła wyszczerzonymi zębami, niby dzika tygrysica.

Pokiwał głową i z podziwem, i z politowaniem zarazem, i przestał stukać na maszynie, wlepiając w nią tępe spojrzenie.

Coś w nim drgnęło, coś zwiotczało. I pożałował jej i nie. Chciał zostać sam i nie chciał. Obecność jej wpływała na niego to kojąco i pobudzająco, to znów drażniąco i deprymująco zarazem. I coś by zjadł i nie. Przez tego cholernego kaca na nic konkretnego nie mógł się zdecydować. Czuł się tak jakby w nocy ta wampirzyca wyssała z niego całą życiodajną krew. Po prostu nie mógł się do kupy pozbierać i tyle.

Jedynie czego był pewien to tego, że zimnym browarem by nie pogardził. Może, gdyby od tego zaczął dzień, wszystko byłoby zgoła inaczej. Niestety, nie miał piwa w domu i to był niewybaczalny błąd. Sam się sobie dziwił, że jeszcze go nie naprawił. Że zamiast męczyć się, nie wyskoczył do sklepu po zbawienny napój, by ugasić to dokuczliwe pragnienie. Może wtedy, gdyby mu już przeszło, nie byłby tak obojętny na zaloty Marty, tylko skonsumowałby ją z apetytem, jako że i była pod ręką, i była tego warta. – „*Czy pani Marta jest grzechu warta, ta myśl uparta zabija mnie*” – zanucił w duchu kawałek refrenu starego, przedwojennego szlagieru.

Nie lubił wprawdzie narzucających się kobiet, ale przecież powinien się cieszyć, że ona go wciąż pożąda.

Martę dzisiaj jakby coś nawiedziło. Wsparła się łonem o róg biurka tak mocno, że aż odjechało.

– Spokojnie... Co robisz?! – fuknął.

– Zostaw te gryzmoły i daj mi coś do jedzenia. Mam smak na coś dużego i grubego... – wydyszała, markując pożądanie.

– Zajrzyj do lodówki. Może znajdziesz tam jakiś kawałek liseckiej – rzucił beznamiętnie, wkręcając kartkę papieru do maszyny.

– Jesteś beznadziejny! – rzuciła zawiedziona.

– O co ci, kotku, chodzi?... Pytałaś o kielbasę, to odpowiedziałem. Wiesz, gdzie jest lodówka.

– Co za facet!... Nigdzie razem nie chodzimy. Zaprosiłbyś mnie choć raz na pizzę albo na żabie udka do Chińczyka. Jeszcze tego nie jadłam.

– Jasne! Tylko tego brakuje, żeby się razem afiszować po mieście. Koniecznie chcesz, żeby to dotarło do Tadka?

Nie był pewien, jakie słowo usłyszał najpierw – palant czy tchórz, czy też kolejność była odwrotna. W każdym razie coś takiego padło z jej ust na pewno.

Zignorował to, skupiając całą swą uwagę na wykręcaniu krzywo wciągniętej do maszyny kartki. Ponieważ nie bardzo mu to wychodziło, zirytował się i, klnąc pod nosem, wyrwał ją spod wałka siłą. Ostatecznie zrezygnował z pisania, bo czuł, że dzisiaj twórcza wena mu nie sprzyja. Stracił podzielność uwagi, jaka zazwyczaj sprawiała, że mógł jednocześnie pisać, słuchać radia i zerkać w telewizor, oglądając w dodatku dwa filmy naraz. W głowie też nie świecił mu żaden godny zanotowania pomysł. Czuł się jak nadmuchana dziurawa dętka, z której wolno uchodzi powietrze.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos trzaskających drzwi.

Oderwał wzrok od maszyny i rozpuścił go swobodnie po mieszkaniu w poszukiwaniu Marty. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jej... nie ma.

– Marta! – zawołał. – Jesteś tu?

Odpowiedziała mu cisza.

Tknięty złym przeczuciem, odstąpił od biurka i zajrzał do łazienki... Pusto, ani żywej duszy. Do kuchni... Aż go odrzuciło na widok pobojuwiska: sterty naczyń i garów piętrzących się w zlewozmywaku i na stole.

– Jasny gwint! Kto to będzie mył? – pomyślał zrozpaczony.

Wrócił do pracowni i mimochodem zawiesił wzrok na oparciu krzesła, gdzie wisiały jego dzinsy. Targany niepewnością, sięgnął do kieszeni. Wyjął portfel i łapczywie sprawdził jego zawartość. Już kiedyś go oskubała.

– Niech to szlag trafi! – zaklął. – Zawsze się tak kończy... Piwko, piwko, a potem człowiek płynie jak kapitan Baranowski przez ryczące czterdziestki, by w końcu wylądować jak Zabłocki na mydle.

Stwierdził, że przechlapał wczoraj chyba ze dwie stowy. Nawet nie chciało mu się tej nędznej reszty liczyć. Na oko wyglądało, że na duże jasne wystarczy. Odetchnął z ulgą.

Po Marcie jednak nie było ani śladu.

W przedpokoju zaplatał się nogami w jakieś rozrzucone po podłodze fatalaszki. Odrącił je ze złością w kąt, ale zaraz schylił się i podniósł. Był to jedwabny peniuar Teresy i dziurawe rajtki.

– Co za cholerne źdźziry! – zgrzytnął. – Zawsze muszą coś zostawić. Jak nie stanik, to majtki, jak nie majtki, to rajtki. Albo choćby głupią zapinkę do włosów. Robią

to z roztargnienia, celowo, czy co?... Może, żeby dać świadectwo swojej obecności w danym miejscu i czasie. Coś jak te prostackie podpisy wyskrobane gwoździem na zabytkowych murach lub na ścianach w publicznym szalecie, w rodzaju: „*Tu byłem. Józek K. z Wołomina, czerwiec 81*”. Albo jak te zwierzaki znaczące moczem granice swego terytorium. Tak, tylko że w przyrodzie robią tak głównie samce. A u ludzi, okazuje się, jest odwrotnie. Bo też nie tyle o terytorium tu chodzi, a o to, żeby dać sygnał ostrzegawczy innej samicy, że nie ma prawa wyłączności do danego chłopca. A ty, człowieku, potem nic, tylko sprawdzaj i sprzątaj, żeby od prawowitej towarzyszki życia nie dostać po pysku.

Wreszcie dotarło do niego, że rzeczywiście wyszła. Ale łezka z tego powodu bynajmniej nie zakręciła mu się w oku. Przeciwnie. Stało się bowiem to, czego od ponad kwadransa oczekiwał. Poczł się wolny i taki lekki jak styropian.

Uchylił wejściowe drzwi, by dla pewności sprawdzić, czy się aby za nimi nie przyczaiła, ale korytarz był pusty. Odgłosu kroków na klatce schodowej także nie usłyszał. Zatrzymał na chwilę wzrok na drzwiach sąsiedniej pracowni należącej do przyjaciela, zastanawiając się, czy nie zapukać i nie zapytać, ale rozmyślił się i wycofał.

– Głupia cipal! – mruknął, zamykając drzwi.

Tylko że tym razem nie przewidział jednego. Bo tego po prostu nijak nie dało się przewidzieć.

Właśnie wracałem do domu z porannych zakupów, gdy nagle!...

Drzwi pracowni mojego sąsiada, Maćka, gwałtownie otworzyły się i wypadła z nich wzburzona niewiasta. Zatrzasnęła je i, nim zdołałem uskoczyć, siłą rozpędu wpadła prosto w moje ramiona.

– A gdzież to się pani tak śpieszy, pani Marto? – zapytałem, czując na ustach jej gorący oddech, a na twarzy łaskoczące muśnięcie rozwichrzonych włosów. Poniżej napierała na mnie wypukłością krągłych piersi i twardych ud.

Z grubsza wiedziałem, kim jest. Znałem ją bowiem nie tylko z widzenia, ale także z pikantnych opowieści Maćka, przechwalającego się czasem przy kielichu swymi miłosnymi osiągnięciami.

– Przepraszam... – wydyszała mi prosto w nos, zaglądając głęboko w oczy. – Sorry... nie wiem, jak to się stało... Wie pan... chyba złamałam obcas.

– A to pech... – bąknąłem, udając współczucie. – Ale spoko, zaraz wszystko naprawimy.

Nie wypuszczając z objęć, przyparłem ją do drzwi i pośpiesznie otworzyłem je kluczem. Na szczęście, schodząc na dół do sklepu, zamknąłem je tylko na jeden spust. Nim więc zdołała wyplątać się z moich ramion, obciążonych siatką z zakupami, oboje byliśmy już w środku. Zatrzasnąłem za sobą nogą drzwi akurat w momencie, gdy Ma-

ciek otwierał swoje. Usłyszawszy ich charakterystyczne skrzypienie, odwróciłem się i wyrząłem przez wizjer. Zobaczyłem, jak Maciek wygląda zza swoich.

Prześlizgując się wzrokiem po korytarzu, na chwilę zawiesił go na moich drzwiach, jakby wyczuwając, że ktoś go obserwuje. Zapewne nie przypuszczał, że jestem w domu, bo prawdopodobnie by podszedł i zapukał. Jak to sąsiad do sąsiada. W końcu znaleźmy się jak łyse konie. Po chwili cofnął się i zatrzasnął drzwi.

Odetchnąłem.

– Spóźniłeś się... trudno. Twoja strata – pomyślałem nie bez złośliwej satysfakcji, postanawiając nie wypuścić ptaszka z garści. Taka gratka nie prędko mogła mi się znowu trafić. Jeśli w ogóle. Czemu to Maciek miał mieć więcej szczęścia ode mnie. Nie ma przecież nic złego w tym, jeśli przyjaciele czasem się czymś ze sobą podzielą. – Kuj, chłopie, żelazo póki gorące! – pomyślałem, wiele sobie po tym obiecując.

Kaśki nie było, bo bawiła w Krynicy, czy też w Krościenku, na ponoć dwutygodniowym szkoleniu dla nauczycieli... Powiedzmy... Parę lat temu także wyjechała, rzekomo, na taką kursokonferencję, a przyłapano ją w pewnym słowackim kurorcie z amantem, jak z żurnala. Jak on ją przemycił przez granicę, czort jeden wie, bo paszport zostawiła w domu. Długo nad tym zachodziłem w głowę, ale w końcu dałem sobie spokój. Jakoś się z tym faktem pogodziłem i rozeszło się po kościach. Tylko czasem, na wspomnienie tego, lubiłem, jak to mówią... „zalać robaka”. No i właśnie nadeszła okazja, żeby się zrewanżować. Czułem, że pomału duma zaczyna mnie rozpierać. Niech sobie kto nie myśli, że mnie na szaleństwo nie stać.

A co do Maćka... no cóż... własnością jego nie była. Zresztą był żonaty i wycinał żonie numer, że ha! Mówi się, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ciekawe, gdzie znaleźć taką czy takiego, który by tej zasadzie nie hołdował. Widać los tak chciał, żebym teraz ja przejął od Maćka pałeczkę. Sztafeta to sztafeta! Co w tym złego, że każdy z nas będzie teraz miał o jednego szwagra więcej? A zresztą, gdyby nawet Maciek się dowiedział, myślę, że nie miałby mi tego za złe. A czemuż to męska solidarność miałaby ustępować kobiecej?...

No, to jazda, kowboju... do dzieła! – zatarłem dłonie.

Widząc, że się niecierpliwie rozgląda, ująłem ją za rękę i pociągnąłem delikatnie do pokoju. Czułem, że się lekko opiera, ale to była tylko taka gra pozorów. Jak zwykle podczas pierwszego spotkania.

– Proszę się rozgościć, a ja tymczasem zaparzę kawę, okay? – zaproponowałem, odstawiając torbę z zakupami do kuchni i postawiłem czajnik z wodą na gaz. Wróciłem do pokoju.

– No i jak się pani podoba moja... – zacząłem, ale mi przerwała.

– Mów mi Marta, będzie łatwiej.

– Okay – przystałem, żeby prezentacji stało się zadość. – Jestem...

– Wiem, jak masz na imię... Krystek, prawda?... Maciek nieraz o tobie wspominał.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Czuj się jak u siebie. Zaraz będzie kawa. Wo-
lisz rozpuszczalną czy po turecku.

– A czegoś mocniejszego nie masz?... Mogę? – zapytała, wyjmując z cukier-
niczki ostatnią czekoladkę i, nie czekając na przyzwolenie, wsadziła ją do ust.

Rozglądnęła się z ciekawością dookoła.

– Fajnie tu u ciebie... Masz tyle książek, obrazów, kaset i płyt... Więcej niż
u Maćka... To country?

– Country. Ty też to lubisz?

– No wiesz... właściwie to nie bardzo. Ale Kenny Rogersa owszem – przyznała
i zanuciła – o dziwo, w miarę poprawnie – fragment refrenu, znanej piosenki „Lucil-
le”.

– No, no, zaczynasz mi się podobać – pochwaliłem ją, nie kryjąc podziwu. –
Mam trochę wiśniówki. Na dobry początek. Może być?...

– Czemu nie, choć to ulepek... A te butelki po łiskaczach...: „Ballantine’s”,
„Jack Daniel’s...”, „Jim Beam”?... O, jest i tequila!...

– Wysuszone – wyjaśniłem. – To tylko takie wspomnienie miłych chwil.

– Tak myślałam. Trudno, niech będzie wiśniówka – zgodziła się, podstawiając
kieliszek.

Nalałem do pełna. Jej i sobie. Lubilem tę „Soplicę wiśniową”, bo była napraw-
dę znakomita. Wchodziła lekko, zostawiając przyjemny posmak kwasu pruskiego na
języku.

– Niestety, fajek nie mam. Nie palę – uprzedziłem, widząc, że lustruje puste
popielniczki.

– Aaa, nie szkodzi. Nie muszę – rzekła, przeciągając się i siadła na tapczanie.
Zagłębiła się w nim wygodnie, aż zabrzęczały sprężyny. – To co, Krystku... brudzia?

– Wyjęłaś mi to z ust – powiedziałem, nachylając się ku niej ponad ławą.

Złapała mnie za troczki bola i przyciągnęła do siebie.

Uważając, by nie rozlać trunku, wykonałem karkołomną ewolucję i zlizaliśmy
sobie nawzajem z warg słodki smak nalewki.

– No to teraz... nóżki na stół, Martuniu – zaproponowałem dwuznacznie. – Zo-
baczmy, co tam z tym twoim obcasem.

Nie musiałem jej tego dwa razy powtarzać. Co za babka!... Wyłożyła prowoku-
jąco obydwie nogi na blat ławy i kręcąc nimi zaczęła się im z satysfakcją przyglądać.
Obcasy butów rzecz jasna były całe.

Przeciągnąłem dłonią po jej kształtnej łydce, aż zaiskrzyło.

Nie zaprotestowała. Przeciwnie, wyczułem, że sprawia jej to nawet przyjem-
ność.

– Jak wy możecie w tym chodzić? – zauważyłem krytycznie, pokazując na raj-
stopy.

– Jeszcze jeden dyktator damskiej mody – skrzywiła się, odtrącając moją dłoń.

– Pewnie mówił ci to już Maciek.

– Pewnie chcesz, żebym to zdjęła.

– Noo... pewnie! – przytaknałem.

Nie da się ukryć, że liczyłem na to. Ale muszę też przyznać, że tak szybkiej reakcji z jej strony się nie spodziewałem.

Wsadziła obie ręce pod sukienkę i tak, jak to one tylko potrafią, rzuciła biodrami w górę, w dół i rajtki wraz z butami wylądowały na podłodze. Wykonała w powietrzu gołymi nogami nożyce, demonstrując, jaki to z niej zuch.

Patrzyłem na to jak zauroczony, czując, że burzy się we mnie krew.

Nie powiem... miałem pewne skrupuły ze względu na Maćka, ale co tam! Jak się mówi „a”, trzeba powiedzieć „b”... Wał stary na całość i nie oglądaj się za siebie! – powziąłem decyzję, zastanawiając się tylko, czy zabierać się do dzieła od razu, czy może jeszcze ją trochę podlać.

– Czin-czin! – wzniosłem toast i wypiliśmy.

– Pij, pij, będziesz łatwiejsza, co? – rzuciła, jakby czytając w moich myślach.

– To ty powiedziałaś – zauważyłem. – Nie zmuszam cię. Sama chciałaś.

– Bo lubię. A ty nie?

– Noo... za kołnierz nie wylewam.

– To tak, jak mój Tadek – westchnęła. – Pije tylko w dwóch przypadkach... Jak jest sam albo kiedy jest z kimś. Ciekawe, co teraz robi?

– Nie wiesz?... Pewnie, jak zwykle, kosi szmal albo... – ugryzłem się w język, by nie palnąć za dużo. Ten facet znany był nie tylko z mitomaństwa, ale także z tego, że panienki zaliczał na kopy, w myśl zasady: „*byleby było ciepłe i się ruszało*”.

Rozlałem resztę gorzałki do kieliszków.

– Jaki tam szmal! – prychnęła. – Wszystko, co zarobi ładuje w ten cholerny dom. Mija dwadzieścia lat, a to jest zaledwie piwnica. Nie wiem, czy to ma być podziemny bunkier, czy co? A ja mam niemodne buty, o!

– Ale za to najmodniejsze nogi – dodałem, siląc się na dowcip i musnąłem ją palcami po łydce.

Była ciepła i gładziutka, jak aksamit. I taka jędrna... Podjechałem wyżej, pod kolano, i jeszcze dalej... i jeszcze... aż do końca uda. Nie wzbraniała się. Chryste!... Było jasne, że moja wstrzeźliwość ma swoje granice. I że długo jej na wodzy nie utrzymam. – „*Każda jej pozycja, to już propozycja*” – napisał Sztaudynger, jakby właśnie o niej.

Nagle, nie ociągając się, zarzuciła mi ręce na szyję i przylgnęła do mnie całym ciałem. Padając na wznak, opłotła mnie mocno nogami. Czułem, jak jej pękate piersi kipią nieokiełznaną żądzą.

Łapczywie, przez bluzkę, chwyciłem zębami sterczący sutek, delikatnie go przygryzając. Przypominał nabrzmiałą oliwkę.

Naraz, jednym ruchem, wyłuskała całą swą górną zawartość na wierzch.

To ci dopiero był widok! Takie cycki powinna mieć każda, bez wyjątku, żeby człowiek miał na co patrzeć...

Zadyndały sprężyste, niczym dwie gumowe piłeczki. Ba... piłki! I to takie jak do kosza.

Dobrałem się do drugiego i był taki sam... jędrny, ciepły, falujący, ze sterczącą antenką, która niby termiczny czujnik nadawała, że cały obiekt płonie i czym prędzej trzeba zdusić ów ogień w zarodku...

Zacząłem więc pośpiesznie szukać tego... zarodka. Instynktownie znalazłem. Był nieco poniżej, ukryty w dobrze strzeżonym miejscu. Przeszkody sforsowałem jednak bez trudu. Twierdza się nie broniła. Poczulem pod palcami miękką, rozwartą i wilgotną muszelkę, a u jej nasady małą kulkę na kształt winogronka. Połechtałem je wskazującym palcem. Jakiś skręcony jak spirala kędziorek zaplątał się w mój sygnet i gdy ruszyłem ręką, cicho syknęła:

– Aj!... To boli.

Zacisnęła uda, nie pozwalając mi wycofać dłoni. Po chwili je rozchyliła. Pozostałem więc na miejscu i delikatnie popieściłem zwierzaczka.

– Bzykniemy się?... Chcesz? – zapytałem.

– Co takiego?!... – zdziwiła się i zachichotała.

– No wiesz...

– A nie zrobisz mi dziecka? I nie będziesz rozповідаł? – upewniła się, zarzucając mi nogi na ramiona.

Poczulem się, niby w jarzmie wół.

– Za kogo ty mnie bierzesz? – obruszyłem się. – Nie jestem plotkarzem.

– No już dobrze... Chodź. Tylko się zabezpiecz.

Wyciągnąłem spod zagłówka tapczanu mały pakiecik z gumkami i pokazałem jej. Kłapnęła zębami, chcąc mi go wyrwać. Udałem, że na to przyzwalam. W ostatniej jednak chwili wsadziłem jej w usta palec. Zaczęła go ssać jak „Pingwina”. Były kiedyś takie lody na patyku. Przerwałem te lubieżne pieszczoty z palcem, bo też i co to za przyjemność i wpiłem się w jej pełne usta jak pijawka.

– Uuu-u... mmm-mm... uuuch!... Przestań! Chcesz mnie udusić? – broniła się, łapiąc z trudem oddech.

No to zacząłem się wwiercać językiem w jej uszko, wiedząc, że to u kobiet wyjątkowo wrażliwe miejsce. Omal nie oszalała.

– Wariatko!... Wybijesz mi zęby – rzuciłem, odskakując z głową w bok.

Objęła mnie za kark i zaczęła przyciągać, ile sił, ku sobie.

Ręce ugięły mi się w łokciach i padłem plackiem na jej falujące piersi.

Musieliśmy dość groteskowo wyglądać w tej pozie. Zwłaszcza ona, ze swymi sterczącymi w górę nogami.

Z trudem wyrwałem się z imadła jej uścisku. Wtuliłem nos w cycuszki, a dłońmi złapałem za oba pośladki, pulchne jak bochny wiejskiego chleba... Pasowały do

nich jak ulał. Klepnałem siarczyście raz i drugi i spróbowałem unieść je wyżej. Ale to były dwie spore szynki, ważące tyle, co ćwierć wieprzka.

Podciągnąłem więc kolana, by się na nich wesprzeć. Figura była iście cyrkowa. Dotychczas sądziłem, że tylko człowiek-guma jest w stanie wykonać tak karkołomne ewolucje. Okazało się, że nie. Byliśmy niczym zapaśnicy splątani w gordyjskim uścisku.

Zastanawiałem się, co by tu zrobić, żeby wrócić do pozycji wyjściowej. Ba, myślałby kto, że to proste! A to przecież była zaledwie gra wstępna.

Sztywne dżinsy nie pozwalały mi na większą swobodę ruchów.

– Ściągnij wreszcie te portki! – rzuciła rozgniona, nie mogąc doczekać się finału.

Czułem, jak konwulsyjne drgawki przebiegają przez jej rozpalone ciało.

– Mam nadzieję, że nie dostanie tu padaczki – pomyślałem z niepokojem. Przecież prawie jej nie znałem. Skąd miałbym wiedzieć, co może się zdarzyć.

Dreszcz podniecenia falą rezonansu przeniósł się i na mnie. Raz po raz łapał mnie w łydkę krótki i bolesny skurcz. – Cholera! Zawsze nie w porę. Żeby nie dopuścić do paraliżu całej nogi, wałnąłem nią silnie o tapczan i podwinąłem pod siebie jak pies kulący ogon. Trochę pomogło, ale straciłem punkt oparcia i omal nie zwałem się pod ławę.

– Co ty wyrabiasz? – upomniała mnie z wyrzutem.

Pochwyciłem ją za włosy i przytrzymałem się, odzyskując równowagę.

– Ratunku!... Puść! – wrzasnęła. – Wyrывasz mi włosy.

– Co za mimoza – pomyślałem. – Powinna dobrze wiedzieć, czym taka zabawa pachnie. Nie jest przecież prawiczką.

Znowu byłem na wierzchu. Ale płatanina rąk i nóg uniemożliwiała mi ściągnięcie spodni. Kowbojska klamra pasa wrzynała mi się w brzuch, grożąc prawdziwym seppuku. Zaklinowała się tak, że nie mogłem jej odpiąć.

Marta, jakimś cudem, wyśliznęła się spode mnie, tak że poczułem pewną ulgę. Ale nie na długo. Siadła na mnie okrakiem, aż jęknąłem. Pięćdziesiąt parę kilo żywej wagi to może i niewiele, ale moje podbrzusze nie wytrzymało takich nacisków. Tym bardziej, że zaczęła ujeżdżać mnie jak konia: raz... raz... raz... raz... sapiąc przy tym jak kowalski miech.

Było to bez sensu, bo przecież byłem w spodniach. Ale napaliła się, że ech!... Pomyślałem sobie, że przydałoby się siodło, żeby trochę to anglezowanie zamortyzować. Albo parę lekcji konnej jazdy. To by była dobra szkoła. Słyszałem o takiej jednej pod Tarnowem... „Patataj”. Całkiem niedaleko... Mógłbym postarać się dla niej o adres. Chociaż... i tu na miejscu, koło Kobierzyna, też był klub jeździecki – „Znarrowione konie”, czy jakoś tak. Zawsze to pod ręką. Tylko że... trochę za blisko szpitala dla czubków. To by jeszcze wywołało niezbyt miłe skojarzenia.

– O czym, u diabła, ja myślę?... – opamiętałem się i krzyknąłem, starając się ją powstrzymać:

– Kto taki? – wytrzeszczyła ze zdziwienia oczy.

– A taki jeden włoski pedał. Ale artysta – zaznaczyłem.

Na chwilę przystopowała, odgarniając do góry opadające jej na twarz włosy. Była nabrzmiała i purpurowa, ale wyglądała cudnie. Jak róża.

Teraz ona zaczęła targać mnie za czuprynę.

– Oszalałaś?! – krzyknąłem. – Chcesz, żebym został łysy?

– Cierp ciało, jakieś chciało – użyła w odpowiedzi znanego powiedzonka.

Wyobrażałem sobie, jak ja teraz muszę wyglądać. Pewnie rozczochrany, jak i ona. Niby jaki zwierz.

Wyszarpnęła mi spod głowy jasek i przykryła nim moją twarz.

– Czyżby było aż tak źle, że nie chce na mnie patrzeć? – pomyślałem przerażony.

– Marta, do cholery!... Zabierz to! Chcesz mnie wykończyć? – zaprotestowałem, dławiąc się własnymi słowami.

Na szczęście część z nich wydostała się spod poduszki i dotarła do adresata. Gwałtownym ruchem głowy zrzuciłem jasek na podłogę. Przy okazji zahaczyłem o kieliszek, który spadł i się rozbił.

– Przedostatni... – jęknąłem z żalem.

Szczerząc zęby i wysuwając język jak żmija, zsunęła tylek na moje kolana i zaczęła dobierać mi się do spodni.

– Nie!... Tylko nie to! – wystraszyłem się, widząc do czego zmierza. – To diablica. A jak mi pogryzie?... Dałaby mi potem Kaśka. Rozwód murowany.

Ale się rozluźniłem.

Manipulowała przy klamrze i rozporku, nie mogąc się z nim uporać. Tak był naprężony.

– Zostaw... ja sama! – oznajmiła kategorycznie, odtrącając moje dłonie, kiedy mimo wszystko spróbowałem jej pomóc.

Poddałem się. Żeby nie być dłużnym, capnąłem ją za majtki i zacząłem przyciągać ku sobie. Były jak guma do żucia. Ciągnęły się bez końca. Wreszcie nie wytrzymały naprężenia i pękły, siłą odśrodkową uderzając mnie boleśnie w nos. Ale warto było. Od tego, co zobaczyłem, nie mogłem oderwać oczu...

Nakazem fizjologicznego impulsu wpiłem się łakomie wzrokiem w jeden punkt między jej nogami, przypominający rozpolowioną brzoskwinkę. Aż mi ślinka pociekła z ust. Miałem nieodpartą ochotę skosztować tego zakazanego, zdaniem świętoszków, owocu. Przedkładałem wprawdzie kuchnię chińską nad francuską, ale stwierdziłem, że ta przystawka na pewno by mi smakowała. Jej futerko było gęste i prawie czarne. Takie, jakie lubiłem. Nie jakiś tam wygolony strzępek.

– Jeszcze jedna farbowana lisica – stwierdziłem w duchu, patrząc na jej blond loki.

– No, chodź tu... chodź... Wyżej... jeszcze trochę... – ponaglałem ją, wyciągając szyję jak żuraw.

W końcu jednak klamra od paska puściła i zamek u spodni też. Zaczęła mnie szarpać za dzinsy, usiłując je ściągnąć. Nie było to łatwe, bo cały czas siedziała na mnie okrakiem. Obawiałem się tylko, żeby z tej całej szamotaniny nie dostać skrętu kiszek.

Ciągnąc za nogawki, przesuwała się coraz bardziej do tyłu. Wspierając się na głowie, czułem jak drętwieje mi kark. – Niedobrze! – pomyślałem. – Dokucza mi to już od dawna, a termin rehabilitacyjnego masażu wyznaczono mi dopiero za dwa miesiące... Paranoja! I to się nazywa... służba zdrowia... Niech ją szlag trafi!

Naraz poczułem, że moment krytyczny się zbliża. To było nieuniknione. Ta gra wstępna trwała stanowczo zbyt długo. Gdy zza krępującej go gumki już, już miał wyskoczyć na światło dzienne mój sztywny pan i władca, by zaszpanować tak, jak tylko on potrafił i gdy jej gościnna dziupla, po tym jak odwróciła się i wypięła do mnie tyłem, gotowa była na przyjęcie go do środka, żeby trochę jak dzieciół postukał, rozległ się nagle... przeraźliwy gwizd, który podziałał na nas jak przeciwpożarowy alarm.

Mgiełka nie do końca spełnionej rozkoszy błyskawicznie opadła mi z oczu i kiedy Marta siadła mi na twarzy, zapomniałem... języka w gębie.

Zrazu oboje staraliśmy się ten dźwięk ignorować, udając, że go nie słyszymy. Ale gdzie tam! Był tak ostry i natarczywy jak dzwoniący w nieodpowiednim momencie telefon. Tyle tylko, że telefon po kilku impulsach sam się rozłącza, zaś gwizdek czajnika nie. Mógłby tak gwizdać bez końca. Do ostatniej kropli wody zamienionej w parę. Wkurzając przy tym do imentu sąsiadów. Nawet tych mieszkających po drugiej stronie ulicy. Pomyślałem, że jeszcze chwila, a będę miał na karku Maćka walącego pięścią w drzwi. Nie ma co, jeszcze tylko tego by mi brakowało.

– Merde! – nie mogłem inaczej, to przynajmniej zakląłem po francusku, wysuwając się jak wąż spod swej oblubienicy.

Poszło w miarę gładko. Nie zahaczyłem niczym o nic.

– Gdzie idziesz?... Wracaj! – zawołała ze złością Marta, upychając do bluzki biust. – Turek... zachciało mu się kawy.

Przyklęknęła na tapczanie, obciągając... niech to szlag... spódnice!

Krew zaczęła powoli i równomiernie wypełniać wszystkie moje członki, odpływając z tych, gdzie jej było w nadmiarze, a dotleniając mózg. Ze stanu lewitacji spadałem na ziemię. I tylko Marta wyglądała tak, jakby właśnie straciła kogoś już... już... bardzo bliskiego. Bo to była prawda. Trudno się dziwić jej rozgoryczeniu. Wszak zawód taki spotkał ją już dzisiaj dwukrotnie.

Tylko skąd ja miałbym o tym wiedzieć?

Gdy szedłem na sztywnych nogach do kuchni, by uciszyć ten piekielny czajnik, poczęstowała mnie tak nagannym, pełnym rozczarowania spojrzeniem, że aż zrobiło mi się głupio. Nie da się ukryć, że na wysokości zadania nie stanąłem. Dałem płamę, jak nigdy dotąd, i już! No, może raz jeden, przed laty, podczas nocnej balangi w hotelu w Nowym Sączu nie wyszło mi z panienką, bo byłem zbyt zalany. Ale to się od biedy dało usprawiedliwić. Za to z dzisiejszą wpadką było gorzej. Przez jakiś głupi czajnik... Wstyd!

Kątem oka dostrzegłem, jak – zawzięcie milcząc – wciąga te swoje rajtki. A robiła to z wyjątkowym wdziękiem. Wyglądała jeszcze bardziej podniecająco niż przedtem. Mówią, że złość piękności szkodzi. Guzik prawda! Wszystkie one najładniej wyglądają właśnie po gwałtownych przeżyciach.

Za oknem, na ratuszowym zegarze, wybiła godzina dwunasta... Samo południe. I rozpoczęła się kakofonia kościelnych kurantów, sygnaturek i dzwonów.

Wyłączyłem gaz i wróciłem do pokoju. Tu... oniemiałem. Po Marcie zostało tylko wspomnienie i zapach dopiero co rozpylonych perfum, utrzymujący się wraz z kurzem w smudze słonecznego światła padającego od okna.

Rozwiął się szybciej niż myśl, jaka mną nagle owładnęła...

Wystraszony nie na żarty doskoczyłem do otwartego okna i, niebezpiecznie wychylając się, zawisłem na parapecie. Ale parapet był zbyt szeroki, żebym z tej wysokości mógł dojrzeć ulicę. To było czwarte piętro.

– Rany boskie!... Chyba nie wyskoczyła? – wyszeptalem do siebie zdrętwiały z przerażenia.

Otrzeźwił mnie dopiero odgłos trzaskających wejściowych drzwi. Ciężar spadł mi z serca.

Podszedłem do ławy, by pozbierać stłuczone odpryski. Na szklanym blacie dostrzegłem wypisany czerwoną szminką napis. Tylko pięć liter z wykrzyknikiem, ale o jakim ciężarze gatunkowym: „*dupek!*”

Nawet nie próbowałem go zetrzeć. A co mi tam!

Schyliłem się i podniosłem z podłogi wystający spod tapczanu strzępek. Były to jej figi, które sam własnoręcznie rozdarłem. Bezwiednie powąchałem je, zmiąłem w garści i z rozmachem wyrzuciłem przez okno.

– Co za kozy! – mruknąłem pod nosem. – Zawsze muszą coś zostawić. Ślad, że tu były, albo pretekst, żeby wrócić po zgubę.

I pomyślałem sobie jeszcze o czymś. Postanowiłem nawet, że wypiszę to flamastrem na kuchennych drzwiach. Ku przestrodze. Żeby już na zawsze było moją dewizą...

„*Bacz by para nie szła w gwizdek!*”

Krótko i węzłowato. Wszystko.

Tak, tylko co by na to powiedziała moja Kaśka?...